



BEZPŁATNY DODATEK DO „WIARUSA“ Nr 25 DLA DZIECI RODZIN PODOFICERSKICH

CIEPŁY ORŁAT

ROK II

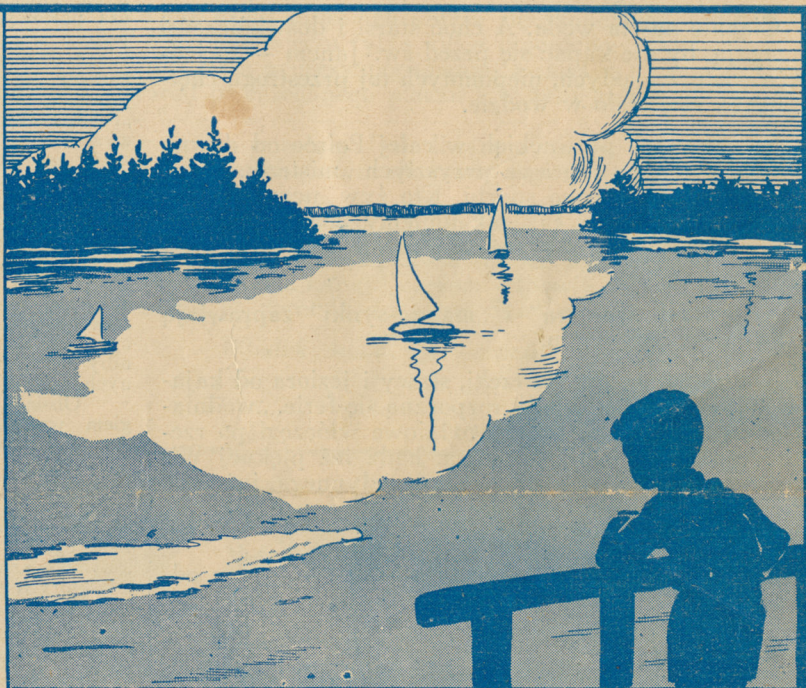
WARSZAWA, 18 CZERWCA 1959 ROKU

NR 24

CIĄGNIĘ NAS WODA



„WODNIAKI“ NA WISLE



JEZIORA AUGUSTOWSKIE



POLESIE — RAJ KAJAKOWCÓW



SZKUNER „ZAWISZA CZARNY“
NA FALACH BAŁTYKU

Ciągnie nas woda

Lato zbliża się. Coraz goręcej świeci słońce. Coraz parniej w dusznych murach miast. Zbliżają się też i wakacje.

Po południu w dnie powszednie, a od wczesnego ranka w świąteczne — coraz rojniej robi się na królowej polskich rzek — na Wiśle.

Każdy chłopak, czy dziewczyna marzy o tym, by urwać wolną chwilę i pośpieszyć nad piaszczysty brzeg wiślany, dosiąść łodzi żaglowej lub kajaka i pomknąć lżyżo z nurtem wody, gdzie wiatr tak rozkosznie pieści włosy, a słońce złociste piętno opalenizny zostawia na ciele.

Ciągnie nas ta woda. A choć starsi i doświadczeni ostrzegają, by nie kapać się przed św. Janem — to jednakże wielu z młodych, niepomyślnych tej przestrogi, chętnie nurza swe ciało w wodzie.

Na basenach pływackich w całej Polsce od dawna już wre wyciężona zaprawa przyszłych „mistrzów” tego pięknego i szlachetnego sportu. Kto żyw uczy się pływać. I słusznie, gdyż tak jak umiemy poruszać się na lądzie, tak powinniśmy też swobodnie czuć się i na wodzie.

Najgorsze „chuchra” i „mamin-synki” zaprawiają się obecnie w pływaniu.

Niebawem zaroją się rzeki, stawy i jeziora od kajaków i innych czółen. A gdy rozpoczną się ferie, „wodniaki” ruszą na dalekie, wielotygodniowe włóczęgi po rzekach i rzeczkach bądź Pomorza, bądź też pięknej Wileńszczyzny, bądź wreszcie Polesia, słynnego już dziś i nawet poza granicami naszego kraju ze swej uroczej egzotyki.

A w duszach wielu młodzieńców legną się sny odkrywcy Kolumba i wyprawy jeszcze dalsze — na mroza sine.

Sławny szkuńer harcerski „Zawisza Czarny” rokrocznie powiększa liczbę wykwalifikowanych już dziś skautów morskich, dla których żegluga po słonym wód beżmiarze nie przedstawia tajemnic.

Marzą się im wyprawy tych kilku śmiałków, co to na wątych jachtach opływają świat i nieznaną dotychczas na obcych i na dalekich lądach banderę Rzeczypospolitej sportową okrywają chwałą.

Lecz dając tak naturalny upust pasji młodości do wody, która was tak ciągnie, nie zapominajcie, że nawet i w tych napozór beztroskich chwilach wodnej włóczęgi pierwszym waszym zadaniem i obowiązkiem jest służba dla Ojczyzny.

Ci z was, którzy naprawdę w tym kierunku czują powołanie, no i siły mają odpowiednie, niech myślą zawczasu o swej przyszłej karierze marynarzy we flocie bądź to wojennej, bądź handlowej. Wszyscy inni niech zarazem starają się poznać swój kraj rodzinny, przez który przepływają, by wraz z czystym powietrzem nadrzecznym wchłaniać w piersi rozszerzone pojęcie o wielkiej, pięknej i wspaniałej Polsce. Niech zbierają też siły i zdrowie na nowy rok pracy i trudów na ławie szkolnej lub w codziennej pracy w swym przyszłym zawodzie.

Wszystkim „wodniakom” w Polsce życzymy „pomyślnych wiatrów!”

Z DALEKIEGO ŚWIATA

DZIECI MAROKAŃSKIE

Dzieci marokańskie chowają się dość swobodnie. Bucików nie znają, strój ich jest bardzo prymitywny, ich skóra śniada, słońcem i wichrem pustynnym spalona, rzadko kiedy styka się z wodą do mycia, a jeszcze rzadziej z mydłem.

A jest tej dzieciarni całe mnóstwo. Na wszystkich samotnych drogach, przecinających tę piękną i bogatą kolonię francuską, mająca pozory samodzielnego cesarstwa z własnym sułtanem na czele, spotkać można gromady pół-dzikich, wałęsających się dzieci.

Trudnią się one paszeniem baranów, wielbłądów, osłów, mułów i specjalnego typu bawołów, zastępujących tam nasze rodzime krowy. Poza tym żebną, a jeśli jest okazja — to i kradną. Żyją jak dzikie ptaki, mało kto o nie się troszczy. Więc też aby przeżyć jakoś te smutne dzieciństwo — radzą sobie, jak mogą.

W licznych i rojnych miastach, zwłaszcza portowych, jest ich jeszcze więcej. Zalegają place targowe, naprzykrzając się wszędzie o jałmużnę. W „sukach” i „fundukach” — jak tam zwa kramy, gdzie dostać można wszystko, od kosztownej, wschodniej broni poczynając, na kawałkach tłustej baraniny kończąc, — kręcą się ich całe mrowie. Pożądliwym wzrokiem oglądają skarby, rozłożone na bazarze, a kupcy strzeż się ich muszą, niby kruków żarlocznych.

Obsiadają też kręgiem wędrownych poetów, deklamujących staro-arabskie ballady i rycerskie opowieści wschodu, zaklinaczy węzów, połykaczy nożów, ognia i wszelakich innych sztukmistrzów, od których roi się na rynkach marokańskich miast, jakby zastygłych w odległym średniowieczu.

Do dziś dnia panuje w tym kraju wielożeństwo, więc też każda rodzina ma liczny przychówek pociech z kilku żon pana domu, którego zresztą nie widują całymi dniami. Rasowy Arab z Marokka przesiaduje godzinami w „kafanie”, czyli kawiarni, siedząc w kuczki na wzorzystych poduszkach nad szklanką herbaty z mięty, lub kubkiem wonnej kawy i rozprawia za wzięcie o... polityce.

O dom i dzieci troszczą się jego żony, zapracowane wiecznie i przedwcześnie się starzejące.

Troszczą się — póki maleństwo jest w wieku niemowlęcym. Gdy natomiast podrośnie — same sobie musi dawać radę, własnym sprytem zdobywając garść daktyli, kawałek kukurydzianego płacka i lyk wody, która jest w tym kraju bardzo cenna, gdyż nie obfituje on, zwłaszcza w okresie wielkich upałów, w rzeki, studnie i inne miejsca do picia.

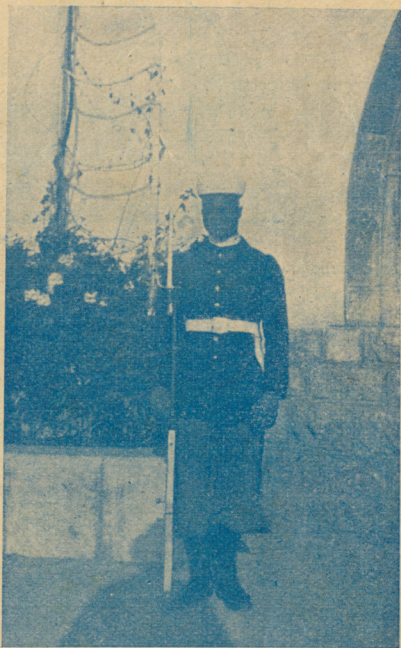
O jedno tylko dbają bardzo marokańskie matki: o kosmyk włosów na podgolonej czasce swej pociechy.

Długi i zmierzwiiony, zwisa on z brudnej i często robactwem pokrytej głowy małego marokańczyka. A jest konieczny, gdyż zapewnia mu drogę do rajy Mahometa. Według wierzeń tamtejszych bowiem, dziecko w razie przedwczesnej śmierci — a śmiertelność tych maleństw jest ogromna — bierze anioł-stróż za ów długi kosmyk włosów i prowadzi poprzez wąską kładkę, rzuconą

(dokończenie na str. 5)



Dzieciaki afrykańskie z Marokka francuskiego



Czarny żołnierz gwardii sultańskiej

UTWORY NASZYCH CZYTELNIKÓW

15 czerwca minęło lat 24 od sławnej szarży szwadronu rotmistrza Wąsowicza z 2 pułku ułanów Legionów Polskich pod miastem Rokitną na Bukowinie, należącej dziś do Rumunii.

Jeden z naszych młodych czytelników, którego utwory zamieszczaliśmy w tej rubryce już kilkakrotnie, nadesłał nam niniejszy utwór, przedstawiający z dużym zmysłem poetyckim ten sławny fragment bohaterskich zmagania legionistów o wolną Polskę.

Redakcja

R O K I T N A

(13.VI.1915)

...Do szarży rozkaz dano... Każdy dosiadł konia,
Wskazał Wąsowicz szablą na rozległe błonia,
Na rosyjskie okopy, leżące w oddali
Ruszył szwadron, podobny do niszczącej fali...
Widać tylko błysk szabel nad przeleklą zgrają,
Wnet rosyjscy żołnierze swoją broń rzucają...
Wziąwszy pierwsze okopy, szwadron pognał dalej,
Lecz z pobliskiego wzgórza już się nań śmierć czai...
To strzelają „maszynki”. A z drugiego rowu
Karabinowe lufy sypią deszcz ołowiu.
Pędzą dalej ulani, prażeni kulami
I o drugie okopy tną się z Moskalami.
Pada Wąsowicz z koniem. Kule świszczą dalej,
Wkrótce porucznik Włodek na ziemię się wali.
Wielu zabitych. Ranni padają obficie...
I Topór-Kisielnicki drogę sprzedał życie,
Bo, gdy mu koń na ziemię runął postrzelony,
Jął strzelać z rewolweru w nieprzyjaciół stronę.

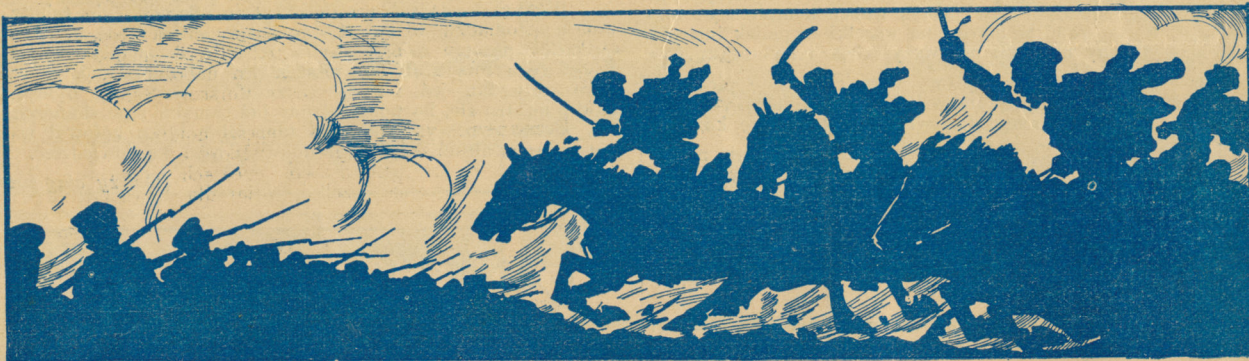
Potem wydobyl szablę. Bił się z Moskalami,
Aż wreszcie padł, zakłuty przez nich bagnietami.

Po trzynastu minutach szarża się skończyła,
Z siedemdziesięciu tylko kilku powróciło.
I piętnastu rycerzy pochowano zwłoki
Wśród powszechnego płaczu i w żalu głębokim.

Szybko mijają lata. Dziś leżą w Krakowie,
Świadcząc sobą o czynie jazdy legionowej.

I niechaj wiedzą wszyscy dziś Polski wrogowie,
Że Polak w świętej sprawie zawsze tego bije,
I że na każdą napaść orężem odpowie,
Pokaże, że rycerski duch przodków w nim żyje!

Włodek Adam, syn sierżanta, ucz. kl. I lic. adm.
Kraków



DZIECI MAROKAŃSKIE

(Dokończenie)

nad strumą przepaścią, na drugą stronę — do „raju”. Dziecko, pozabawione zbawczego pędu włosów, zlecieć musi niechybnie w przepaść. Wszystkie inne anioł przeprowadzi bezpiecznie na łono Allacha, który rad jest tym maleństwu, jeszcze bez grzechu żyjącym.

Nie troszczą się o nie na ziemi, gdyż wiara w przeznaczenie wzmagą wrodzone lenistwo ludzi wschodu i każe im żyć w przekonaniu, że każdego los jest z góry przewidziany i nie i nikt zmienić nie może ludzkiego „fatum”.

Dzieciarnia z miast uczy się niewiele. Przy meczetach (świątyniach) istnieją początkowe szkoły powszechne, prowadzone przez „imamów”, czyli duchownych muzułmańskich. Trochę czytać, rachować, trochę śpiewu i tańca uczą się tam młodzi synowie „zachodniego cesarstwa wschodu” — jak sami z dumą mówią o swym kraju.

Tylko nieliczni i to co zamożniejsi uczniowie, oczywiście — chłopcy wyłącznie, kontynuują naukę w tak zwanych „medersach” — religijnych szkołach średnich, gdzie wykładają tajniki Koranu, czyli świętej księgi Mahometa, dostojni mędrzy wschodu.

Kiedyś, przed wiekami, nauka arabska stała na bardzo wysokim poziomie. Wszak oni to są twórcami liczb, do dziś przez nas używanych, oni też znali kompas i nauki nawigacyjne, zanim dowiedział się o tej mądrości świat chrześcijański. Ich akademie

w Fezie, Marakesz, Meknes, Rabat i innych większych miastach słynęły w średniowieczu. Świat wiedzy muzułmańskiej tworzył podwaliny pod potęgę państwa arabskiego, sięgającego od dalekiego Tygrysu i Eufratu, od Bagdadu i zatoki Arabskiej w Azji, poprzez całą północną Afrykę, głęboko wrzynając się w półwysep iberyjski — czyli dzisiejszą Hiszpanię. Lecz świat ten stanął w swym rozwoju i pozwolił się wyprzedzić rasie białej, aryjskiej i cywilizacji, idącej z Rzymu. Dziś — Arabowie rozbici i podbici — zwolna dopiero przypominają sobie swą świetną przeszłość, stwarzając ruch tak zwany „panarabski”. Lecz odrodzenie swe rozpacząc muszą od troski i to rzetelnej o zaniebaną dotąd młodzież.

T. N.



Marokańska oaza

J. ROZWADOWSKI

WIRAZ PO STARCIE

Mechanik zdjął podstawki. Kołowałem wolno sprzed hangaru do chorągiewki, zatknętej na środku lotniska, obok której zgromadziła się w komplecie grupka moich kolegów. Płatowiec pełznął, przechylając się skrzydłem raz w lewo, raz w prawo, gdy koła podwozia natrafiały na jakąś nierówność gruntu.

Obejrzałem się za siebie. Jeszcze dwie maszyny lazły niegrzecznie za nami do startu.

Po kilku dniach paskudnej beznadziejnej pogody wzięto nas znów do galopu, chcąc odrobić stracony czas, którego do nominacji nie dużo już zostało. Każdy z nas był już starym pilotem. Lataliśmy od dawna sami, to też nic dziwnego, iż rozkaz dowódcy szkoły, każący przerobić nam jeszcze raz jakąś tam, nie pamiętam już jaką, ilość ćwiczeń z instruktorami, wywołał rozgoryczenie i oburzenie. Przyczyną tej zmiany dotychczasowej pracy był wypadek, spowodowany przed dwoma tygodniami przez Wacka Orzelskiego, który zwałił się z maszyną zaraz po starcie, rozbijając ją w drobny maczek. Awantura była szalona. Niefortunny podchorąży, który szczęśliwie jakoś wyszedł cało z opresji, tłumaczył się zacięciem sterów, czemu nikt nie wierzył. Przeprowadzone badania nie zdołały nic wyjaśnić, wobec kompletnego rozbicia aparatu. Wpakowano nam więc na wszelki wypadek instruktorów do maszyn, aby nauczili nas wszystkiego od początku.

Rozkaz jest rozkazem, zaczęliśmy więc całą serię pięknych rundek dookoła lotniska, wożąc jako balast instruktorów, którzy następnie wygłaszali nam mniej lub więcej urozmaicone kazania.

Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że absolutnie nie mamy pojęcia o lataniu. Takie było przynajmniej zdanie naszych nauczycieli. Moja grupa dostała jako mistrza starszego sierżanta Bodycha. Był to pilot naprawdę wysokiej klasy. Przeszedł całą wojnę światową w armii niemieckiej, odniósł w czasie niej kilkanaście zwycięstw w walkach powietrznych, przeżył front bolszewicki, mając jakąś fantastyczną ilość wylatanych godzin, wszystkie typy maszyn i fenomenalną rutynę.

Zaraz po pierwszym locie wsiadł na mnie z wielką twarzą:

— Panie podchorąży, jak pan będzie tak dalej latał, to zamów pan sobie odrazu trumnę i wieniec!

Zglupiałem.

— Czemu, panie szefie?

— Panie, to kryminał, nie latanie. Pan mi chce zaimponować, że umie pan poprawnie startować i lądować. Ja wiem, że pan to potrafi, bo potrafi to po tygodniu szkolenia każdy nawet szymbownik. Umie też pan kręcić akrobację, ale to nie wszystko. Za stary jestem, żeby dać się nabrać. Pan nie umie głupiego wirazu po starcie. Lotkami trzyma pan maszynę i krzyżuje stery. To kryminał, mówię raz jeszcze, pewny korkociąg i jazda do piachu murwana!

Myślałem, że mnie krew zaleje! Chłop zwariował, czy co? Nie umiem wirazu? Przecież jeszcze przed wstąpieniem do Podchorążówki miałem licencję pilota sportowego i czołową lokatę z Obrotu Lotniczego Przystosobienia Wojskowego. Coś nadzwyczajnego!

Wkrótce okazało się, że nie jestem wyjątkiem. Wszyscy moi koledzy z grupy, jak twierdził Bodych, nie umieli wirazy. Kręciliśmy je z sierżantem aż do oglupienia, nie to jednak nie pomagało.

Ogarnął nas w końcu taki pesymizm, że naprawdę zaczęliśmy wątpić, czy co z nas będzie.

Minąłem grupę i startowy dał znak. Pchnąłem manetkę i za chwilę lotnisko zapadło w dół pod nami. Spojrzałem na wysokość: 150 metrów. To teraz.

Kładę maszynę na lewe skrzydło, ziemia ukazuje się gdzieś z boku, zły jestem, jak diabli, daję pełny gaz i pochylam aparat w ostrym, wyrzucającym go nazewnątrz łuku, podciągniętym wirazu. Wyprowadzam i słucham. Aviofon myleży. A więc chyba dobrze? Kropię po kolei trzy następne, mamiękam gaz i ląduję tuż przy grupie.

— Nie czekając na to, co powie sierżant, wyskakuję i pomagam następnemu zapiać pasy. Bodych obraca się i kiwa ręką. Wiem, wiem! Trzymałem lotkę. Stary kawal!

Kładę się na trawie i zapalam papierosa. Zastanawiam się, czy rzeczywiście Bodych ma rację? Zaczynają mnie trapić takie wątpliwości, że aż muszę podzielić się nimi z kolegami. Zdania są jednakowe. Sierżant lata po mistrzowsku, nikt nie może temu zaprzeczyć, ma jednak „wirazową manię” i tyle. Przecież to niemożliwe, żebyśmy my, podchorążowie, ostatniego rocznika „zawodówki” nie umieli głupich wirazy. I to wszyscy!

Po tygodniu przeszliśmy na „P. W. S-y”. Znaliśmy je doskonale, każdy latał już na nich niezliczoną ilość razy.

Inne grupy zaczęły latać odrazu bez instruktorów. My nie. Rezultat był taki, że w trzeciej grupie kropnął się jeden z kolegów. Biedak pojechał do szpitala, aparat zaś do kasacji. Cóż się okazało? Nie wycofał, wychodząc z wirazu, nogi i poszedł przez leś, nie zdążywszy wyprowadzić z powodu małej wysokości.

Bodych triumfował:

— Widzicie, kto miał rację, ja, czy wy? Umiecie wiraze, co?

Dłuższy czas staraliśmy się go przekonać, iż wypadek spowodowany był nie tym, że uczeń nie umiał wirazów, lecz tym, że przeszedł bezpośrednio z wybaczonej wszystkim błędów pilotażu, łatwej „8-ki” na bardzo czulego „P.W.S.-a”. Sierżant miał i na to odpowiedź:

— To co z niego za pilot? Stale będzie na „8-kach” latał? A co by było, jakby mu tak w pułku „P.11” dali, hę?

Miał rację, bezsprzecznie miał.

Po tym wydarzeniu wzięliśmy się porządnie do roboty. Wiraze wychodziły, jak złoto. Co myślał o nich sierżant, nie wiadomo, bo nigdy nic nie mówił, chyba, że było już naprawdę fatalnie. Kiwał ręką i tyle. Równie dobrze mogło to znaczyć, że wszystko w porządku, jak i że do chrzanzu. W sumie nie było jednak chyba bardzo źle, bo puszczał nas już samych i po skończeniu lotów nie bardzo wymyślał. Coś tam sobie tylko notował w wielkim notesie, ale co, nigdy nie udawało nam się dowiedzieć.

(Dalszy ciąg nastąpi)



WYDAWCA: WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO - OŚWIATOWY

Redaktor naczelny: Jerzy Ciepilowski, kapitan

Zastępca naczelnego redaktora: Wacław Szmagier

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 25/25. Telefony: Redakcji 231-72, Administracji 304-69. Konto PKO 22.144

Drukarnia Krakowska w Warszawie, ul. Wolska 19. Tel. 3.44.20